



Amanda
PROWSE

*Nikt w takim stopniu nie opanował sztuki tworzenia
współczesnej i rodzinnej powieści jak Amanda Prowse*
— „DAILY MAIL”

*Trzy i pół
sekundy*



Amanda
PROWSE

*Trzy i pół
sekundy*

PRZEŁOŻYŁA
Edyta Świerczyńska



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Three-and-a-Half Heartbeats

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno
Redakcja: Justyna Yiğitler
Korekta: Ewa Popielarz
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcia na okładce: © mavo (Shutterstock), © tanatat (Shutterstock)
Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © 2015 by Amanda Prowse

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Edyta Świerczyńska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2017
ISBN 978-83-65740-61-8



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiectwo
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Druk i oprawa: Abedik S.A.

Dziesięć lat temu spotkałem człowieka,
który nie tylko nadał kierunek mojej karierze,
ale także zmienił moje życie. Jem nigdy nie dowiedział się,
jak wielki miał na mnie wpływ – gdy po raz pierwszy go
zobaczyłem, był w stanie śpiączki farmakologicznej.
Po silnego trzydziestosiedmiolatka przyszła sepsa,
w ciągu kilku godzin zamieniając jego ciało
w zbiór rozkładających się narządów.

Jako lekarz na oddziale intensywnej terapii na co dzień
mam do czynienia z ofiarami sepsy, więc nie wiem, dlaczego
akurat dzięki Jemowi postanowiłem walczyć z tym zjadłym
zabójcą, który co roku zbiera żniwo w postaci ośmiu
milionów zgonów. Jednak tak się właśnie stało,
a w efekcie dziś, dziesięć lat później, ratujemy ludzkie życie.

Poznałem dotąd setki dorosłych i dzieci dotkniętych sepsą
oraz ich rodziny. Ci pacjenci to nie tylko cyfry w statystyce.
To ludzie, których ktoś kocha. Mają swoją historię,
tak jak ja i wy. Historię podobną do zapisanej
na kartach tej książki.

Doktor Ron Daniels

DYREKTOR THE UK SEPSIS TRUST AND GLOBAL SEPSIS ALLIANCE

Prolog

Jak daleko sięgała pamięcią, Grace Penderford zawsze pragnęła mieć dziecko. Ta tęsknota przybierała wręcz postać fizycznego bólu u podstawy łona, pulsującego na widok – i zapach – noworodka. Utrzymywała to w tajemnicy, ponieważ wiedziała, że jej rodzice chcą, by kierowała się głosem rozsądku i zadbała o życie zawodowe. W jej głowie nieustannie brzmiały mądre słowa matki: „Grace, najpierw zdobądź dobrą posadę, a potem zajmij się rodzeniem. W pracy zawsze będziesz mogła znaleźć oparcie. Wiesz, dzieci mają to do siebie, że rosną. A kiedy pójdą do szkoły, ty będziesz mogła wrócić do firmy. Poczucie bezpieczeństwa jest najważniejsze”. Grace kiwała głową, przytakując. Wiedziała, że to rozsądne podejście, jednak ta wiedza nie mogła uciszyć jej rozpaczliwego pragnienia, żeby zostać matką. Pięła się po szczeblach kariery w agencji marketingowej, ale nie marzyła o lśniących samochodach czy designerskich gadżetach, choć mogłaby sobie na nie pozwolić. Nie. Grace marzyła o osiągnię-

ciu szczytowego punktu w karierze, by móc spokojnie się zatrzymać i spojrzeć na wszystkie swoje dokonania, trzymając w ramionach malutkie zawiniątko w białym, dziergany kocyku, z którego wystawałaby maleńka piąstka oplatająca jej palec.

Zabrało to trzydzieści sześć lat, trzy miesiące i sześć dni, ale ta chwila wreszcie nadeszła. W dniu, w którym miało spełnić się jej marzenie, Grace wdychała tlen, głaszcząc swój brzuch schowany pod cienką bawełnianą koszulą, podczas gdy dziecko kręciło się lekko, szukając dla siebie wygodnej pozycji. Dłonią gładziła naciągniętą skórę, gruchając: „Wszystko dobrze. Nie bój się. Już prawie tu jesteś, czekam na ciebie. Nie mój się, maleństwo. Jestem tuż obok”.

Była podekscytowana, wiedząc, że wreszcie zobaczy swoje dziecko, ale miała też wrażenie, że coś traci. Wiedziała, że ten ich cudowny, niepowtarzalny czas spędzony tylko we dwoje dobiega końca. Jakby instynktownie czuła, że to było najlepsze miejsce dla jej córki: bezpieczna kryjówka w jej ciele.

Chloe na nią spojrzała. Wszystkie podręczniki i wszyscy eksperci z dziedziny położnictwa utrzymywali, że to niemożliwe, przecież tuż po porodzie noworodek jest zbyt zajęty zaczerpywaniem swojego pierwszego oddechu i przystosowywaniem oczu do światła. Grace słuchała tych medycznych mądrości, ale jako matka wiedziała swoje. Wiedziała, że córka spojrzała jej w oczy, kiedy była przenoszona nad jej głową, i że w tym ułamku sekundy w umyśle dziecka wyrył się obraz matki. Chloe ją zoba-

czyła i zapamiętała, jakby porozumiewając się z Grace, wysyłając jej wiadomość.

Gdy wzięła swoje dziecko w ramiona, poczuła jego szczególny zapach przypominający świeżo upieczony chleb. Grace wdychała go, całowała drobniutką buzię małej i płakała, przyglądając się temu najwspanialszemu darowi, jaki kiedykolwiek otrzymała. Darowi tak cennemu, że będzie go chronić za wszelką cenę, póki starczy sił.

– Witaj, Chloe! Patrzcie państwo, mała dziewczynka! – Radością było dla niej wypowiedzenie na głos imienia córki. – Widzisz, mówiłam, że wszystko będzie dobrze. Jak ci minęła podróż? Nieźle? To wspaniale. Witaj na świecie, maleńka. Jestem Grace, jestem twoją mamą i cię kocham.

1

U LUDZI DOTKNIĘTYCH SEPSĄ
MOWA MOŻE STAĆ SIĘ BELKOTLIWA,
TAK JAK W PRZYPADKU UDARU MÓZGU

Grace wyskoczyła ze swoich zamszowych wedgesów, ustawiła je schludnie obok szpilek pod biurkiem, przy koszu na śmieci i włożyła tenisówki. Oparła stopę o krawędź biurka, jak to miała w zwyczaju, pozwalając, by jej spódnica podciągnęła się za wysoko, i licząc, że nikt nie będzie patrzył, więc zdąży zawiązać sznurówki na podwójną kokardę. Nikt, a zwłaszcza Jason Jordan, ten podstępny szczur – z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak zagląda jej pod spódnicę. To by do niego pasowało. Wciąż nie mogła mu darować, że przejął jej kampanię reklamową, utrzymując, że włączenie go do projektu leży w interesie klienta. Grace wiedziała, że chciał po prostu zabłysnąć. No i zabłysnął. Rywalizowali ze sobą latami. Za każdym razem gdy spotykali się we foyer, widziała, jak taksuje jej obuwie, zastanawiając się, czy da radę prześcignąć ją w drodze na górę.

Przypominali dwoje uczniów rywalizujących o pierwsze miejsce w wyścigu. Żałosne. Wiedziała, że jeśli znacznie myśleć o jego ostatnich wyczynach, znowu się rozłości, ale fakt pozostawał faktem: był teraz jej szefem, stał na czele działu i odpowiadał bezpośrednio przed radą nadzorczą. Poczowała, jak znowu skacze jej ciśnienie, kiedy wyobraziła go sobie przybijającego piątki ze wszystkimi w zasięgu ręki. Gnojek.

Zawiązała buty trochę za mocno, ale stwierdziła, że gdy przemierzy chodniki w swoim tradycyjnym żwawym tempie, mieszając się z grupkami turystów, lawirując między irytującymi parami kochanków oraz nieśpiesznymi przechodniami, którzy mieli czasu jak wody, sznurówki rozluźnią się i będą w sam raz. Rzuciwszy okiem w stronę biura Jasona, ucieszyła się, że poszedł już do domu. Nie żeby szczególnie go unikała, ale jeśli było to możliwe, lubiła zjawiać się w pracy przed nim i wychodzić po nim. Musiała coś mu udowodnić i tylko czekała, aż powinien mu się noga, a wtedy ona skoczy do przodu!

Wyprostowała się, podniosła słuchawkę telefonu, przyłożyła ją do ucha, przytrzymując ramieniem, i wcisnęła trzycyfrowe szybkie wybieranie, które jej palec znał na pamięć.

– Cześć, właśnie wychodzę. Co tam mała kombinuje? – mówiła szybko, licząc, że mąż dostosuje się do jej tempa. Nigdy nie zwalniała! Czekając na jego odpowiedź, zebrała wydrukowane arkusze reklamowe do zaaprobowania, opasły notes i makiety do sesji fotograficznej, którą musiała zorganizować, a następnie wszystko to wrzuciła do torby razem z kompletem swoich ulubionych długo-

pisów, porannym wydaniem „Metra”, którego wciąż nie miała okazji przejrzeć, oraz połówką banana, o której losie jeszcze nie zdecydowała. Może zje ją w pociągu, może wyrzuci do kosza...

Tom zaczerpnął powietrza. Jego nieśpieszna odpowiedź sprawiła, że mięśnie jej szczęki napięły się lekko.

– Miała superdzień. Staralem się nie wspominać... Wiesz o czym... O naszej nadchodzącej małej przygodzie. Czytaliśmy książeczkę o tygrysie, który musiał iść do szpitala, i zapytała tylko, czy tata tygrysa został tam razem z nim, więc chyba możemy się domyślać, czym się martwi.

„Nic o mamie tygrysa?”

– No cóż, myślę, że sobie z tym poradzimy. Wychodzę dosłownie w tej sekundzie...

„Pa!”, rzuciła bezgłośnie, machając Jayney, która też właśnie kończyła dzień roboczy. Asystentka była dla niej kimś między współpracownicą a przyjaciółką – klasyczne zjawisko wśród osób spędzających w pracy zbyt dużo czasu.

Zanim zebrała się do wyjścia, Jayney podskoczyła do biurka Grace i przykleiła do jej torby różową karteczkę. Jak zwykle zignorowała toczącą się konwersację – bez względu na to, czy Grace rozmawiała z klientem, czy ustalała z Tomem, co na kolację, Jayney zawsze wyglądała na cudnie niezainteresowaną szczegółami.

Grace spojrzała na wiadomość. „Miłego weekendu. Powiedz Chloe: powodzenia w poniedziałek. Do zob. we wtorek!” Mrugnęła do swojej powierniczki.

Tom zaczął temat kolacji. Przerwała mu.

– Przekąszę coś, jak wrócę. Nie martw się. W biurze jadłam późny lunch. Słuchaj, muszę kończyć, bo spóźnię

się na pociąg. – Rzuciła okiem na zegar ścienny. – Do zobaczenia wkrótce. Kocham, kocham.

Odgarnęła za uszy swoje obcięte na pazia kasztanowe włosy i zbiegła szeroką marmurową klatką schodową, lekceważąc korporacyjne porady, by schodzić powoli i trzymać się lśniącej poręczy. Kto miał na to czas? Na pewno nie ona. Ona miała pociąg do złapania. Z plecakiem na ramionach, w lekkim, mocno ściśniętym w pasie płaszczu i ze swoją żółtą torbą od Radleya przebiegła przez imponującą recepcję. Idąc ze spuszczoną głową, starała się ze wszystkich sił ignorować tłum pracowników wylewający się z szesnastu pięter budynku Shultzheima, gdzie reklamodawcy, marketingowcy i ładni ludzie pracujący w PR-ze wynajmowali piętra, uśmiechali się do siebie we wspólnej siłowni i rywalizowali ze sobą we własnych przedsiębiorstwach. Grace wbiła wzrok w obrotowe drzwi, czekając na odpowiedni moment, by przez nie przejść.

Spędziła cały dzień w swoim klimatyzowanym biurze jak w kokonie i teraz przytłaczały ją hałasy miasta. Takśówki trąbiły, silnik autobusu parskął, tysiąc osobnych głosów krzychało do telefonów komórkowych. Cała ta kaskad dźwięków napędzała zbliżający się ból głowy. Kierowała się w stronę stacji jak na autopilocie, swojej wewnętrznej nawigacji satelitarnej ustawionej na N1C 4QP. Nie zwracała już uwagi na Londyn, jego majestatyczną architekturę, czerwone autobusy i budki telefoniczne, które najwyraźniej prosiły się o zdjęcia z kłębiącym się na jej drodze tłumem.

Grace pamiętała czasy, kiedy życie w Londynie było dla niej czymś ekscytującym. Wiele ulic skrywało miejsca, któ-

re w przeszłości kojarzyły jej się z dobrą zabawą. Pamiętała samą siebie, młodą i uśmiechniętą, stojącą przed jakimś klubem. Młodsza, beztroska, nosiła szalowe ciuchy, miała za mocno pomalowane usta i wysoko trzymała kieliszek wina, śmiejąc się długo i głośno z niczego szczególnego. Była świeżo upieczoną absolwentką uniwersytetu upajającą się życiem u boku ukochanego mężczyzny, jej kariera nabierała kształtów i prawie wszystko wydawało się zabawne! Jednak teraz, gdy do jej drzwi pukała czterdziestka, to wielkie miasto wraz ze swoimi jasnymi światłami i frywolnymi rozrywkami z fascynującego miejsca zamieniło się w absolutny koszmar. Duszne metro ją frustrowało, tłumy doprowadzały do szału, a niebotyczne ceny kawy przerażały. Gdy tylko wyszła z pociągu i postawiła stopę na stacji St Pancras, zapragnęła wrócić na wieś i nabrać w płuca ożywczego powietrza. Każdego dnia jej ulubionym celem podróży był dom, gdzie czekali Tom, Chloe i sofa, na której mogła wylegiwać się w piżamie i bez makijażu.

Wiedziała, że jej złudzenia rozwiały się po części z powodu wieku. Rzeczy, na które w młodości nie zwróciła by uwagi, teraz były absolutnie nie do przyjęcia. Dlaczego grzeczność musiała być towarem deficytowym?... „O mój Boże – pomyślała, wymijając kolejnego nieśpiesznego przechodnia – zamieniam się we własną matkę!” Uśmiechnęła się, przywołując obraz Olive, swojej mamy. To niekoniecznie było takie złe. Jej mama umiała być jednocześnie troskliwą opiekunką, oddaną żoną i wspaniałą przyjaciółką, którą wszyscy kochali. Była szczerą, bezpośrednią, do bólu lojalną i zabawną. Grace marzyła, żeby spełniać swoje zadania choćby w połowie tak dobrze, jak ona.

Była zmęczona. Przepychanki z Jasonem wyczerpywały ją i przynosiły niepotrzebny stres przy już i tak wymagającej funkcji. Poczowała pulsowanie bólu przeszywającego do szpiku kości. To nie było zwyczajne przemęczenie. Jej ciało posyłało w niebo ostrzegawcze flary. „Przystopuj albo padniesz łupem jednej z licznych przypadłości, która sprawi, że będziesz bezużyteczna”. Taki scenariusz był absolutnie wykluczony. Nie miała czasu na chorowanie. Skoro ten punkt nie widnieje w kuchennym kalendarzu, to znaczy, że nie ma racji bytu. Zbombarduje ból głowy proszkami i utopi w kubkach siarczyście mocnej kawy, która postawi ją na nogi i uruchomi krztuszący się silnik jej organizmu.

Miała za sobą wyjątkowo napięty dzień. Najgorszy był późny ranek, kiedy Jayney stała przed nią, trzymając dwa moodboardy i prosząc, by zaaprobowwała jeden z nich, podczas gdy ona wisiła na telefonie, słuchając dramatycznie szczegółowych wyjaśnień klienta, który tłumaczył jej, dlaczego jego firma po prostu nie może sobie pozwolić na proponowany budżet projektu. W tym samym czasie na korytarzu stał już Jason, pukając palcem w tarczę swojego zegarka, co miało jej przypomnieć, że jest spóźniona na spotkanie. Chciała stamtąd uciec, ale z drugiej strony przez większość dni w tej czy innej chwili czuła podobny impuls. A ucieczka nie wchodziła w grę.

Rytmiczne kołysanie gorącego, dusznego wagonu zachęcało do drzemki. Grace rzuciła sennym okiem na współpasażerów. Zaczęła zastanawiać się nad osobliwą więzią, jaka ich łączyła, tę gromadę obcych sobie ludzi przez cały rok odbywających razem tę samą podróż. Ran-

kiem zbierali się w tym samym wagonie, a pod koniec dnia spotykali na St Pancras i razem wracali do domów. Obliczyła, że podczas typowego dnia roboczego, włączając czekanie na poranny i popołudniowy pociąg, spędzała w towarzystwie tych obcych ludzi dwie godziny i czterdzieści minut – więcej niż z Chloe. Jednak mimo przelotnych uśmiechów i skinień głowy nie wchodzili ze sobą w żadną prawdziwą interakcję.

Grace oczywiście wymyśliła każdemu z nich nazwisko i historię życia. Był więc pan Mamrot, który dużo cmo-kał, kręcił głową i mówił do siebie pod nosem, a właściwie pod krzaczastymi, siwymi wąsami, najwyraźniej nie zawsze zadowolony z obrotu spraw. Niekiedy z głębi peronu uszu Grace dobiegały jego niezrozumiałe wywody. Była pewna, że mieszka z matką i piętnastoma kotami i cierpi, bo mama zabrała mu Xboxa. Może nie posprzątał w pokoju, zostawił na podłodze mokry ręcznik, pudełko po pizzy na półpiętrze albo popełnił inne podobne przewinienie. Dąsał się, mimo że miał pięćdziesiąt lat i był sędzią. Sama myśl o tym sprawiała, że się uśmiechała. Był też pan Stres z krawatem permanentnie przekrzywionym na swojej nalanej szyi oraz tonem i zachowaniem ostrzegającymi głośno o potencjalnym ataku serca. Mimo że był dość tęgim facetem, zawsze próbował wcisnąć się w najmniejsze z wolnych miejsc siedzących z rodzaju tych, co do których chcielibyście, by zajmowali je przy was tylko bliscy krewni. Pan Stres spędzał resztę podróży w niewygodzie, świadomie starając się nie zgnieść siedzących po obu stronach osób, krzycząc jednocześnie do telefonu komórkowego o przeróżnych swoich spotkaniach i pomy-

słach. Wyobrażała go sobie jako kierownika działu szkoleń średniej wielkości supermarketu i pomyślała, że tak wysoki poziom napięcia mógł zawdzięczać nieodwzajemnionej miłości, jaką darzył Marjorie z działu warzywnego. Z jego zaciśniętej szczęki i fałszywego śmiechu Grace odczytała, jak był „zachwycony” awansem Colina i pominięciem jego własnej, bardziej niż kompetentnej osoby. Sama знаła to uczucie. No i była jeszcze jej ulubienica, panna Kocham, która większą część każdej podróży spędzała na gruchaniu przez telefon do swojego faceta. Grace doszła jednak do wniosku, że ów facet należał do jej kuzynki, a więc potajemni kochankowie zmuszeni byli uśmiechać się do siebie grzecznie podczas rodzinnych uroczystości, stukać się kieliszkami Buck’s Fizza ponad głowami dzieci w Boże Narodzenie i udawać obojętność, gdy ich połówki ogłaszały kupno większego domu bądź nowego samochodu. To by wyjaśniało jej ledwie skrywane szlochanie w chusteczkę, kiedy zbliżali się do St Pancras. Grace zastanawiała się, jakim nazwiskiem i historią obdarzono ją samą. Pani Szttywna, pani Skwaszona, pani Formalistka? Bardzo możliwe. Uśmiechnęła się na tę myśl. Nie znali jej – znało ją bardzo niewiele osób, być może tylko dwie na całym świecie, a mianowicie Alice, jej siostra, i Tom, jej mąż.

Oparła głowę o szybę, ale mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Martwiła się poniedziałkiem. Posłanie małej córki do szpitala, bez względu na to, jak niewielki miał ją czekać zabieg i jak często powtarzała sobie listę korzyści z niego wynikających, i tak wydawało jej się poważną sprawą.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment
tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WydawnictwoKobiece.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Kolejowa 12E/3
15-701 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059